

## **List do M. Kandla na temat "Kongresu Futurologicznego"**

Kraków, 15 maja 1974 [*Sława i fortuna. Listy S. Lema do M. Kandla*]

*Tekst został zamieszczony na portalu solaris.lem.pl*

*Link do oryginału: <https://solaris.lem.pl/ksiazki/beletrystyka/kongres-futurologiczny/582-list-do-m-kandla-na-temat-kongresu-futurologicznego>*

Drogi Panie\*,

otrzymałem resztę tłumaczenia i oto moje uwagi – po części krytyczne.

Powiadając "you are working miracles" w depeszy, nie miałem na myśli czczego komplementu, lecz tę okoliczność, że Pan w samej rzeczy dokonywał cudu – transsubstancjacji. Utwór ["Kongres futurologiczny"] mianowicie udaje, że dzieje się w USA, czyli że jego przyrodzonym językiem jest angielski: toteż zarówno wersja polska jak niemiecki przekład mogą brzmieć jak przekłady (jak dobre przekłady, ale jak przekłady). Cud w tym, że Pan musiał uczynić wymowę, słownictwo – całkowicie wiarygodnymi, autentycznie angielskimi, czyli w pewnym sensie Pana zadanie było miejscami trudniejsze od mojego. Tam, gdzie to było najtrudniejsze – w neologizmach, w obrotach mowy, w idiomatyce fikcyjnej – to się Panu udało, ten cud. Ale ostatnia partia wyszła Panu gorzej – zaskakująca rzecz!

Dlaczego tak? Tekst był zamyślany pod względem modalności jak utwór muzyczny, w którym lejtmotyw koszmaru, tragizmu, mającego zabrzmieć fortissimo w finale, znajduje wcześniej tylko słaby wyraz: gdyż zrazu dominuje humorystyka, zarówno w treści, jak w formie (ta forma, tutaj, to po prostu lakonizm memuarów, przejęty od Pepysa, nieumyślnie komiczne "and so to bed", chociaż literalnie "a potem spać" czy "do łóżka" w tekście nie występuje. Tak więc, gdy spadają ostatnie zasłony i pojawia się ta naga ohyda, już nie mówi właściwie narrator, ale ja przez niego mówię, i tym samym zmienia się stylistyka narracji. Żadnych stereotypów dlaboga, żadnych łatwizn! "an outcast in the wilderness" to jest właśnie sztampa, "byłem już poza nawiasem zwiidu, więc na pustyni" nie jest taką kliszą, bo "poza nawiasem" to idiom, a "poza nawiasem zwiidu" to idiom niejako odwrócony i ożywiony dodanym słowem "zwid". "Ulica – to był kres" znaczy "äusserste Grenze", jak w wersji niemieckiej, a nie "barrier", bo ulica jest po prostu tutaj ostatnią stacją Golgoty. Kres, jako punkt ostatniego dojścia. "Zrobiło się jaśniej – białło" – to zdanie domaga się po "biało" kropki, cezury, dla wypunktowania, ponieważ odtąd mówi się już inaczej.

Jednym słowem, w tej ostatniej części Pan jakby nieco pofolgował, jakby w przeświadczeniu, że ma Pan już najtrudniejsze za sobą. Niewątpliwie najtrudniejsze miał Pan już tam za sobą, lecz i ta ostatnia część wymaga osobnej uwagi, innego podejścia. Upadek i rozkład Trottelreinera nie jest w Pana wersji tak NAOCZNY, tak "behawiorystyczny", jak w polskim i w niemieckim. W finale słowa muszą mieć swoją rzeczową, zimną, ciężką, bezwzględną wagę. Zima, śnieg, lód, przymy lodu, to wszystko wymaga takiej prezentacji, jak w naturalistycznym utworze dobrego,

XIX-wiecznego rzemieślnika prozy. Powiedziałbym, że Pan się pospieszył tam i dlatego trafiają się właśnie utarte zwroty, niedopuszczalne! Pod tym kątem proszę porównać niemiecki tekst z polskim a potem ze swoim! Dostrzeże Pan różnicę. Zresztą – nie chciałbym wchodzić w szczegóły, z jednym wyjątkiem. "Mascons" powinno dla Tichego znaczyć "mass concentrations", jak w oryginale, żart nie jest na miejscu (ten, który Pan wymyślił), nie dla tego, żeby to był zły żart, czyli nie ze względów taktycznych, ale strategicznych: miejsca takie to są odwołania do pozafantastycznej rzeczywistości, do znaczeń faktycznych, przywoływanych z rozmysłem zaplanowanej rachuby. W moim odczuciu w tym miejscu powinno być tylko suche zdziwienie Tichego, konstatacja, a nie przejście z neologizmu w inny neologizm. To niby drobiazg, lecz dotykam punktu, w którym kiedy niekiedy się rozchodzimy. Wartości, powstające pod piórem lokalnie, muszą zawsze podlegać całościowemu uchwytowi. Inaczej słowa "In der Begrenzung zeigt sich erst der Meister" nie miałyby bardzo rzeczowego, bardzo rzemieślniczego sensu. Ośmielam się tedy prosić, aby dla wspólnego dobra zechciał Pan, pod tym kątem, jeszcze raz przemyśleć ostatnie stronicę. (Rozmowa ostatnia z Symingtonem i sam koniec są już znowu bez zarzutu – gorzej wypadła tylko partia OPISOWA).

Co się tyczy krytycznego "macrotrashm", to wydaje mi się, że brzmi zupełnie dobrze, zresztą i w niemieckim "Allmist" nie jest tak zabawne jak "Wszechśmiot", ale to, co Pan uczynił, mam za najzupełniej właściwe i nie budzące najmniejszych zastrzeżeń. (Bardzo dobre oczywiście są Pana już własne wariacje wokół "odjęzykowej futurologii"). Ale ja tu nie zamierzam już Pana chwalić, bo Pan i tak wie, co myślę o Pana robocie. W gruncie rzeczy poprawki czy też zmiany, na jakie bym nastawał, są bardzo drobnej natury. Tu kropka, tam odtworzenie sensu słowa "kres" w kontekście opisu ulicy (kres, jakem powiedział, to nie bariera), bardzo tego niewiele, ale z takich mikroskopijnych pofolgowań powstaje właśnie pewna słabość wyrazu. Proszę spróbować może innych sformułowań? Niemiecka wersja może Panu służyć dobrze, bo jest nadzwyczaj wierna, tj. sensami bardzo bliska polskiej.

(Czy pisałem Panu o tym, że "Uascotian" to jest właściwie "Łaskotian"? W niemieckim "Kizzikizzi", nienajszczęśliwsze to, więc jeśli nie wpadnie Panu na myśl nic zabawnego – coś a la "prurituals" wg "spirituals" – to może oczywiście zostać i ten "Uascotian", choć to wszak nic nie znaczy po angielsku, tj. nie kojarzy się z łaskotkami).

W każdym razie ta ciężka rzecz już jest za Panem! Poprawki, o jakie się wstawiam, byłyby wszak tylko kilkoma dotknięciami, mikroskopijnym retuszem. Odnoszę wrażenie, że nasze "rozchodzenia się" polegają na dwu rzeczach:

Primo, Pan czasem zdaje się sądzić, że coś u mnie jest powiedziane nie dość wyraźnie, i żeby to "doszło" do czytelnika, Pan to "nasila".

Secundo, pewne partie wydają się Panu czasem rozwlekłe, i Pan wtedy je stara się uzwięźlić. Oczywiście sprawa wymaga zawsze konkretnego roztrząsania i in abstracto nie może być raz na zawsze rozwiązana. Lecz uważam, że Pan się w pewnym, bardzo strategicznym sensie, MYLI. Mianowicie oba te podejścia, o jakich właśnie wspominałem, zdają się wskazywać na Pana nieufność względem czytelników: nie zauważą, a więc wzmocnić – albo: znudzą się i znużą! a więc skrócić, uzwięźlić. Ale tak nie wolno robić, proszę Pana. TAK NIGDY NIE WOLNO ROBIĆ. To, czy Czytelnik będzie się DOSTATECZNIE STARAŁ, to nie jest NASZA RZECZ. Milcząco przyjętym, nieporuszoną, oczywistą, bezwzględny założeniem wszelkiej kreacji jest odbiorca

OPTYMALNY, aktywny, PODDANY zarazem tekstowi czyli ufający mu: jeśli jest coś słabo wyakcentowane, to widać MIAŁO takie być, a jeśli jest do znużenia dokładne, to widać ta własność także się tekstowi należała i trzeba w niej szukać osobnego znaku, sensu, wskazania. Jednym słowem, ŻADNEJ ULGOWEJ TARYFY, żadnych UŁATWIEŃ, żadnego SPRZYJANIA CZYTELNIKOWI (żeby się nie odstręczył, żeby się nie znudził, żeby nie zrezygnował). Najpierw – takie starania i tak są bez żadnego pragmatycznego skutku, bo leniwego wszystko nudzi i nuży. A co ważniejsze, dla utworzenia WYGODY można, wtedy pójść na ŁATWIZNY. Oczywiście pouczam Pana, oczywiście nie myślę tu już wcale o "Kongresie", ani o tłumaczeniu, ani o moich książkach, lecz o pryncypiach. Ja wiem, że Mann był w Ameryce uważany za "ponderous" i "pompous", lecz to jest *hiatus kultur*, a nie osobista niedomoga Manna, wskutek czego Mann "skrócony dla Amerykanów" nie będzie ani dobrym Mannem, ani dobrym pisarzem dla Amerykanów, lecz spreparowaną prymitywnie używką. NIE UŁATWIAĆ! oto zasada, której się należy trzymać, a reszta jest już prostą konsekwencją.

Dziękuję Panu za wszystkie poniesione męki. Sądzę, że się opłaciły. A po tym "Bóg zapłać" nie pozostaje mi już nic, jak tylko bardzo serdecznie ukłonić się poprzez ocean.

Oddany,  
Stanisław Lem

---

\*adresatem listu jest Michael Kandel, amerykański slawista, lemolog, autor jednych z najlepszych tłumaczeń książek Stanisława Lema.